Nr. 20. Królewska Huta, piątek dnia 8. Marca 1889. **Rok I.**

Głos Ludu Górnoszlązkiego.

Własność obywateli górnoszlązkich: Kotuła i sp.

Pismo poświęcone sprawom politycznym i społecznym.

Hej! Bracia, w Imię Boże — Bóg nam dopomoże!

Redaktor główny i odpowiedzialny: Bronisław Koraszewski.

„Głos Ludu Górnoszlązkiego" wychodzi co **Wtorek i Piątek**. Przedpłata kwartalna wynosi na pocztach, w Redakcyi i u panów agentów **1 markę** (70 cent.). W Królewskiéj Hucie z odnoszeniem do domu także tylko 1 markę — Pojedyńczy numer 10 fen. **Ogłoszenia** przyjmuje się **za opłatą 15 fen.** od wiersza petytowego. **Listy** jako i **przekazy pocztowe** adresować należy **Administracya „Głosu" (B. Koraszewski)** Królewska Huta (Königshütte O.-S.).

Redakcya i Administracya znajduje się w Królewskiéj Hucie na Cesarskiéj ulicy nr. 12.

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

Po zapustach.

Przebrzmiały już wesołe tony dźwięcznej muzyki, zamilkła harfa, zamilkły skrzypki, ustały pląsy; cały świat katolicki przywdział grubą żałobę, bo oto nastał czas rozmyślania, w którym to przypomnieć sobie mamy, że nie dla uciech, nie dla rozkoszy ziemskich człowiek stworzon jest, lecz że innem, wznioślejszem jest jego przeznaczenie.

Oj! czasby był zaprawdę nareszcie zastanowić się nad tem naszem powołaniem, nad naszymi obowiązkami, bo wielu z nas fałszywie je pojmuje i po fałszywych pląsze się manowcach.

Niejednemu zdaje się, że coś bardzo mądrego powiedział, mówiąc, że człowiek na to tylko jest na świecie, aby pracował. Mylą się, którzy tak sądzą, albowiem niepodobna to rzecz, by Pan Bóg człowieka tym końcem osadził na ziemi, by przez wszystek żywot mozolił się i zapracował na śmierć. Każdy rozumny wyrobnik musi wiedzieć, w jakim celu pracuje. Spytajmy się rólnika, dlaczego sieje, a odpowie: Sieję, bym w czasie żniw zbierał. Spytajmy się rzemieślnika, dlaczego poci się i znoji, a odpowie: Pracuję, żebym sobie na kawałek chleba zarobił. Tak i Pan Bóg, stwarzając człowieka musiał mieć cel jakiś, musiał mu pewne jakieś wytknąć żadanie. Większa część ludzi utrzymuje jednak, że przeznaczeniem człowieka jest zbierać, gromadzić dobra, zaszczyty i w ogóle wszelakich przyjemności zażywać. Gdyby tak w istocie było, gdyby człowiek dla tych dóbr ziemskich był stworzon, tedyby też w nich musiał znaleźć zupełne zadowolenie, zupełny spokój serca swego. Tymczasem uczy doświadczenie, iż bogacz, im więcej nagromadził skarbów, tem chciwiej łaknie i pragnie większych jeszcze zysków, że pyszny, im wyżej postawion, tem większych jeszcze pragnie zaszczytów, tem większej sławy itd. Marność nad marnościami, zawołał król Salomon, któremu żaden z śmiertelników nie dorównał, ni bogactwy, ni chwałą, ni używaniem rozkoszy. Prawdziwe to słowa, bo iluż takich milionerów, bogaczy nad bogaczami, co w rzeczach ziemskich szukali celu i przeznaczenia swego, a ostatecznie z przesytu i rozpaczy życie sobie przez samobójstwo wzięli! O nie, wszystkie pieniądze, wszystkie, jakie tylko być mogą, uciechy nie zdołają zaspokoić serca ludzkiego; to serce za wielkie, iżby je ziemią można zapełnić, i to właśnie jest nieprzepartym dowodem, że człowiek nie jest stworzon dla tego świata. Służenie Panu Bogu nie wyklucza bynajmniej pracy i roboty ziemskiej, chrześcianin gorliwy nie jest, uchowaj Boże, próżniakiem. I owszem pracuje, pracuje pilnie, pracuje sumiennie bez szkody dla duszy, albowiem on pracę codzienną Panu Bogu ofiaruje. Jest więc prawdą, że nie dla tego mizernego świata, nie dla jego nędznych i zdradliwych dóbr, jesteśmy stworzeni, lecz dla Boga. Ta prawda powinna nam stać ustawicznie przed oczyma i na pamięci, albowiem napisano jest: „**Boga się bój a strzeż przykazania jego, bo to jest wszelki człowiek.**" (Eccls. 12, 13). Tak czyni prawy chrześcianin, prawy katolik, i tylko ten, który Boga się boi, zażywa słodkiego spokoju duszy, które największe szczęście na ziemi stanowi. Dowodem tego niech będzie żywot Napoleona I., cesarza francuzkiego. Połowę Europy zagarnął pod swe panowanie, zażywał wszelkich uciech i rozkoszy ziemskich, bito przed nim pokłony jak przed półbogiem. A czyż był szczęśliwy? Przy końcu życia wyznał: „Najszczęśliwszym dniem w życiu mojem był dzień pierwszej Komunii św." Tylko ten, kto służy P. Bogu, kto posiada Boga, tylko ten jest prawdziwie szczęśliwy. —

Niechaj te myśli, tutaj tak pobieżnie na papier rzucone, pobudzą nas dziś mianowicie, kiedy zaczynamy wielki post, kiedy każdy z nas co dopiero usłyszał z ust kapłana monitujące słowa: „z prochuś powstał i w proch się zamienisz", do gorliwego wypełniania obowiązków naszych jako katolików.

Ale to jeszcze nie koniec na tem. Chcemy być bowiem dobrymi katolikami, nie powinniśmy zaniedbywać także obowiązków narodowych, a te są bardzo, bardzo wielkie. My Polacy jesteśmy bowiem tak nieszczęśliwi, tak ciężkich doznajemy przeciwności zewsząd, że trudno nam nieraz przetrzymać niejedną burzę, która się zrywa nad głowami naszemi. Nasz post nie zaczął się w środę popielcową, nasz post trwa już wiele, wiele lat; u nas już dawno po zapustach! Dlatego, jak trudno jest niejednemu lichemu katolikowi przez całe czterdzieści dni postu wielkiego wstrzymać się od grzesznych wybryków, tak o wiele trudniej przychodzi niejednemu z nas Polaków z niezłamaną wolą przetrzymać ten ciężki los, jaki nad nami zawisł, przetrzymać ten czas próby, w którym mamy dowieść, czy jesteśmy warci miłosierdzia i zlitowania Bożego. Małoduszność wkrada się w serca nasze, przestajemy wierzyć w lepszą przyszłość, a przez to samo przestajemy wierzyć, że Opatrzność jest nad nami. Hołdując obcym zwyczajom, zaniedbując a nawet poniewierając język ojczysty, czyż nie popełniamy świętokradztwa względem siebie i dziatek! Czy to tak się przestrzega swych obowiązków, czy tak się szanuje to, co nam jest dane od samego Boga!

Więc i nad tem zastanówmy się w obecnej chwili rozmyślania i poprawmy się i dodawajmy sobie otuchy wzajemnie w smutkach naszych; niechaj w miejsce nienawiści i prześladowań Rodaków przeciw Rodakom nastąpi prawdziwa, serdeczna miłość, a dopiero wtenczas możemy z całą pewnością liczyć na to, iż Bóg nam będzie błogosławił.

Dzielny atleta.

(Powieść amerykańska.)

(Ciąg dalszy.)

Siedzą więc oto teraz oboje w paśmie światła i rozmawiają zamiast robić próbę nowych skoków. Koń stoi na arenie i nudzi się. Mała Jenny przytulona do ramienia Orsa, utkwiła zamyślono oczy w przestrzeń i rozważa w swojej małej główce jak to będzie na pustyni, a czasem rzuca pytania, żeby się jeszcze lepiej dowiedzieć jak to będzie.

— A gdzie tam mieszkać? — pyta podnosząc oczy na towarzysza.

Tam jest pełno dębów. Bierze się siekierę i buduje się dom.

— Well — mówi Jenny — a nim dom stanie?

— Tam zawsze ciepło. Gryzli Hiller mówił, że tam bardzo ciepło.

Jenny poczyna kiwać jeszcze mocniej nóżkami, na znak, że jeśli tam ciepło, to jej o nic więcej nie chodzi; ale po chwili zastanawia się znowu. Ma ona w cyrku ulubionego psa, który nazywa się pan pies, i kota zwanego pan kot, chciałaby więc i względem nich coś postanowić.

— A pan pies i pan kot pójdą z nami?

— Pójdą — odpowiada Orso i mruczy z radości.

— Weźmiemy z sobą i dobrą książkę?

— Weźmiemy — mówił Orso i mruczał jeszcze głośniej.

— Well — szczebiocze dziewczynka. — Pan będzie nam łapał ptaszki, a pan pies będzie szczekał, jeśli zechce do nas przyjść kto brzydki; a ty będziesz mężem, ja twoją żoną, a one będą nasze dzieci.

Orso taki już jest uszczęśliwiony, że nie może nawet mruczeć, więc Jenny prawi dalej:

— I pana Hirscha nie będzie i cyrku nie będzie, i nie będziemy nic nigdy robić i tyle!.... Ale nie! — dodaje po chwili — dobra książka mówi, że trzeba pracować, więc czasem przeskoczę sobie przez jaką obręcz, przez dwie obręcze, przez trzy obręcze, przez cztery obręcze.

Jenny nie wyobraża sobie widocznie pracy pod inną postacią jak skakanie przez obręcze,

Po chwili pyta znowu:

— Orso, i ja naprawdę będę zawsze z tobą?

— Tak jest, Dży: ja ciebie bardzo kocham.

Twarz jego rozjaśnia się gdy to mówi i staje się prawie ładna.

A jednak on sam nie wie jak kocha tę małą jasnowłosą główkę.

Oto jak brytan swoją panią. Zresztą na całym świecie ją tylko jedną. Swoją drogą wygląda przy niej jak smok, ale co mu to szkodzi? Nic a nic!

— Dży! — mówi po chwili — posłuchaj co ci powiem.

Jenny, która przed chwilą podniosła się chcąc spojrzeć na konia, przyklęka teraz przed Orsem, i aby nic nie stracić z jego słów, opiera łokcie na jego kolanach, następnie położywszy brodę na obie dłonie poczyna słuchać z zadartą główką.

W tej chwili jednak, na nieszczęście dzieci, wchodzi do cyrku artysta na bacie, a wchodzi w jak najgorszym humorze, albowiem próba ze lwem zupełnie się nie udała.

Wyłysiały ze starości zwierz, który radby, żeby mu już raz dali święty pokój, żadną miarą nie chciał rzucać się na artystę — pod razami bata, chował się tylko w głąb klatki. Dyrektor myślał z rozpaczą, że jeśli to lojalne usposobienie nie opuści lwa do wieczora, to koncert na bacie może się nie udać, bo bić lwa, który się odwraca, nie jest większą sztuką, niż zacząć jeść raka od ogona.

Humor dyrektora jeszcze się pogorszył, gdy murzyn sprzedający bilety na paradyz, doniósł mu, że Indyanie widocznie już przepili pieniądze wzięte za winobranie, albowiem zgłasza się ich wprawdzie do kasy wielu, ale zamiast pieniędzy, ofiarują za bilety swoje derki znaczone U. S., albo też żony, zwłaszcza stare.

Brak pieniędzy u Indyanów był nie małą stratą dla artysty na bacie. Liczył on bowiem na „crowded hause;" dlatego dyrektor życzył sobie w tej chwili, aby wszyscy Indyanie mieli tylko jeden grzbiet i aby on mógł dać koncert na tym grzbiecie w obec całego Anaheimu. W tem usposobieniu wchodzi do cyrku, a widząc konia nie robiącego nic i stojącego ze znudzoną miną pod parapetem, ma ochotę przewrócić koziła z gniewu. Gdzież mogą być Orso i Jenny. Zakrywszy ręką czoło, aby mu oczu nie zaślepiało światło wdzierające się przez płótno, dyrektor wpatruje się w głąb i wkrótce dostrzega w świetlanem pasemku Orsa i Jenny klęczącą przed nim z łokciami wspartemi na jego kolanach. Ujrzawszy takie widowisko, puszcza koniec bata na ziemi.

— Orso!!

Piorun, któryby uderzył w grupę dwojga dzieci, nie mógłby wywołać większego w nich przerażenia. Orso zrywa się na równe nogi i poczyna zlępować wyciećiem między ławkami na dół, tym pośpiesznym ruchem zwierzęcia idącego do nogi na głos pana; za nim postępuje mała Jenny z oczyma szeroko otwartemi z przerażenia, chwytając się przy drodze ławek.

Orso wylazłszy na arenę zatrzymując się przy parape-

Przegląd polityczny.

— Ojciec św. przyjmował w zeszłą sobotę kardynałów i prałatów, którzy przyszli złożyć mu powinszowania w dniu imienin jego, będącym zarazem rocznicą jego koronacyi.

Na adres odczytany przez jednego z kardynałów odpowiedział Ojciec św. w te mniej więcej słowa:

„Wstępując w ośmdziesiąty rok życia a dwunasty pontyfikatu swego, uczuwam przedewszystkiem w tych nader uciążliwych dla rządcy Kościoła czasach, potrzebę zaniesienia gorących modłów o pomoc do Boga. Zebrane tu grono kardynałów zna dokładnie niepewne a groźne położenie europejskie, na którem cierpi także Kościół, bo pozbawiony zwierzchnictwa swego i swej niezależności, a oddany w ręce przemocy obcego mocarstwa, wystawionym jest na wszelkie niebezpieczeństwa, jakim Włochy tak wewnątrz, jak i skutkiem zbiegu zewnętrznych okoliczności uledz mogą.“

Ojciec św. wspomniał następnie o niedawnych rozruchach w Rzymie i o zawikłaniach zewnętrznych, które wzbudzają w sercach katolików troskę o los Głowy Kościoła i los wiary we Włoszech i mówił dalej:

„Utrzymują nieraz, że Kościół doznaje we Włoszech większej swobody niż w innych krajach. Jest to przypuszczeniem zupełnie mylnem, bo ta sama okoliczność, że jest pozbawiony władzy świeckiej jest już nieznośną przeszkodą przeciw jego niezależności.

„Obraza Kościoła przez trudności stawiane biskupom, odmowy i zwłoki w udzielaniu potwierdzeń, rozwiązywanie zakonów religijnych, wykluczenie Kościoła z nadzoru nauki szkólnej, nowy kodeks karny, konfiskaty dóbr kościelnych, napaści na fundacye pobożne i inne instytucye, wreszcie opieka, jakiej od rządu doznają nieprzyjaciele Kościoła i sekty religijne, są przecież dostatecznym dowodem, że Kościół we Włoszech nie doznaje bynajmniej swobody.

„Pozostać wiernym zasadom religijnym i pełnić wynikające ztąd obowiązki jest, jak to Kościół często przypomina, najgłówniejszym interesem każdego ludu, a Włochy uczują więcej niż jakikolwiek inny lud skutki swej niewdzięczności dla Kościoła. — Oby lud włoski zważył wcześnie tę prawdę a wracając do lepszej spuścizny Ojców zajął inne względem Kościoła stanowisko.“

Ojciec św. zakończył swą przemowę wezwaniem kardynałów, aby łączyli swe modły z jego modłami do Boga i wspierali go gorliwie w tych ciężkich dla Kościoła czasach.

— We Włoszech rwie się coraz bardziej. Wszyscy ministrowie wraz z prezesem Crispim podali się do dymisyi. Są to naturalnie skutki ostatnich smutnych zajść. Powiadają jednak, że nowe ministerstwo będzie znowu pod dowództwem Crispiego utworzone, t. j. że Crispi będzie, jak był, pierwszym ministrem, ale że będzie musiał przybrać do nowego ministerstwa przyjaciół Francyi, bo niechęć ku Niemcom wzrasta z dniem każdym. Powodem niechęci było wydalenie korespondenta włoskiego Paronelli z Berlina; wydalenie to oburzyło dumę narodową Włochów; do tego ognia dolał rząd włoski oliwy, proponując podwyższenia wydatków na wojnę. I w Węgrzech objawia się niechęć przeciw Niemcom. Pokazało się to mianowicie przy rozprawach nad nową ustawą wojskową. Przybliżanie się Włoch do Francyi jest widoczne. Nawet układy handlowe zawięzują się na nowo, choć były zerwane. Rozbrojenie Aszinowa, o którem w przeszłym numerze pisaliśmy, było bardzo zręcznym krokiem, za który Włosi Francuzom będą niezmiernie wdzięczni, boć Aszynow, ów „wolny kozak“, miał pomagać Abisyńczykom przeciw Włochom. Rosya się wprawdzie trochę gniewa na Francuzów, że tak ostro postąpili sobie z Aszynowem, ale tem więcej cieszy się z tego, że przez to Włochy odłączą się od Niemiec a zbliżą do Francyi i Rosyi.

Z tego wszystkiego poznać można dokładnie, iż potrójne przymierze (Niemiec, Austro-Węgier i Włoch) się psuje. Rwie się wszystko w polityce na dobre.

— W Francyi nowe ministerstwo uderzyło z całą siłą na tak zwaną „Ligę patryotyczną“, ponieważ ona popiera dążności Boulangera. Rząd zabrał wszystkie papiery Ligi, z których pokazało się, że wielu urzędników do niej należy; wszyscy ci urzędnicy mają być niezwłocznie złożeni z urzędu. Rząd wytacza procesy nawet posłom, którzy wydawali odezwy wzywające do składek na rannych druhów Aszynowa. W sejmie będzie z powodu tego awantura, bo przeciwnicy rządu chcą pytać ministrów, jakiem prawem nakazał odbywać rewizye po domach członków Ligi.

Niektórzy chwalą nowemu rządowi, że tak energicznie wystąpił przeciw Lidze. Spodziewają się też, że rząd użyje odpowiednich środków przeciw agitacyi Boulangera. Przeciwnicy rządu też się cieszą, bo powiadają, że na tem agitacya Boulangera zyska.

KORESPONDENCYE.

Dąb przy Katowicach.

N. B. P. J. Chr.

Panie Redaktorze! Piszecie w ostatnim numerze i zarazem upraszacie o korespondencye, tak i ja też chwytam za pióro, bo i ja znam takiego Ojca, co mówi, że jak by teraz przestali uczyć po niemiecku, to by swoje dzieci wziął a dałby tam, gdzieby nie uczyli po polsku. Więc on jeno chce, żeby byli Niemcy, ale on nieborak nie umie ani słówka po niemiecku; a z tych dzieci co będzie, to trudno wypowiedzieć, bo się już i niemiecka gazeta (Neisser Ztg.) śmieje niby z Niemców, a choć ta gazeta nam Polakom też nie jest przychylną, to jednak pisze, że już tak daleko zaszła, że już dalej nie idzie.

Mówił jeden kaznodzieja: Jak idzie matka z dzieckiem, a ta matka, biedna Polka obszarpana, a idzie można pani Niemka, wytwornie ubrana i będzie ta można Pani chciała wziąść to dziecko, a czy myślicie, że pójdzie to dziecko z tą można panią? Nie, ono się będzie tulić do tej biednej Matki obszarpanej, bo milej dziecku na matczynych rękach skostniałych spoczywać, jak u można pani na wyściełanych fotelach. A tak jest, bo czy nam to nie jest miło takich pięknych nauk słuchać w naszym języku, jak nam piszesz Panie Redaktorze, albo i ci bracia i te siostry co takie korespondencye piszą, albo jak to pan Piotr Kołodziej w Hucie Laury, co to wydał ten Kalendarz Górnoszlązki, bo ja już mam trzy Kalendarze z tego roku, a jeszcze wziąłem czwarty, ale w żadnym tak pięknie nie stoi, jak w tym od pana Kołodzieja. Wy, Bracia i Siostry, co go już posiadacie pytam was się, co jest zapłacone. Ja mówię, że ani ta przygoda o tym bucie nie jest zapłacona, a gdzież żarty, obrazki, kronika i niepojęte drogi Opatrzności Boskiej i t, d., a tam by go trzeba tego Kalendarza do tej wsi, gdzie to tam ten chłop woła fru, fru, a mnie go też jeszcze proszę przysłać 20 egzemplarzy, a ja chłopek z Dębu i moja żona z Kamienia wołamy panu Kołodziejowi trzykrotnie „Niech żyje,“ a na przyszły rok niech zaś wyda Kalendarz. —

Od granicy polskiej.

Dobry postęp godzien pochwały i naśladowania. W niedzielę 24go z. m. miałem ważny interes odwiedzić mego przyjaciela w Przełajce, o którejto kilka razy czytaliśmy korespondencye w „Głosie L. G.,“ jakie to trudności były dla mężów ze strony kobiet, a szczególniej dla Walka, któremu to żona zabroniła abonowania tego nowego pisma „Głos L. G.“ Lecz teraz nadspodziewanie poznałem tu rzetelnych i stałych mężów, którzy dbają o dobrą sprawę. Bawiąc jakiś czas u wspomnianego przyjaciela, spostrzegłem kilka razy, jako gospodarze w swoich staropolskich kamzelach idą sobie do pewnego, dosyć dobrze zabudowanego gospodarstwa: pytam się mojego przyjaciela, czy się to tam szynkownia znajduje, bo pomyślałem sobie, że się na zabawę schodzą, do jakiej w przeszłym miesiącu dosyć było sposobności. Lecz odpowiedź mego kolegi brzmiała: Czytałeś w pierwszych numerach „Głosu“ o naszych Przełajczankach, a szczególnie o tej Walkowej i wiesz ztąd, coto nieborak jej mąż za kłopot miał gdy sobie dał „Głos“ zapisać, ale przecież wreszcie nieustraszył się warzęchy, chociaż mu ją żona po plecach ocierała z kaszy. Teraz się tak naprawiły nasze kobiety, że co która mogła to oszczędziła, ażeby tę 1 mk. zapłacić na cały kwartał i abonować „Głos L. G.,“ żeby ich nie miano za najgorsze Górnoszlązaczki. A ci gospodarze coś ich oto widział, zamiast iść do szynkowni, jak się dawniej schodzili, a przytem też i niejednę markę stracili, to sobie wezmą gazety polskie, po większej części teraźniejszy „Głos“ i schodzą się raz do tego, raz znów do drugiego gospodarza, którzy dobrze czytać potrafią i jeden czyta, a drudzy słuchają. I tak się teraz uczciwie bawią, pouczając się wzajemnie. A szynkarz ten sobie nie może wytłumaczyć, co się to stało, iż do niego nie przychodzą, a każdy tego „Głosu“ słucha; powiada więc, że na przyszły kwartał to będzie kilka numerów utrzymywał, ażeby go też do niego czytać chodzili. Więc pomyślałem sobie co też to za dobry wpływ wywiera ten „Głos,“ jak on to potrafi takie zimne i ciemne serca zagrzać i oświecić. Szanowni Rodacy, trzymajcie się tak jak najdłużej i przyświecajcie dobrym przykładem waszym.

---

cie chmurny i milczący. Szare światło padające z góry oświeca teraz wyraźnie jego herkulesowy tułów, osadzony na krótkich nogach.

— Bliżej! — woła ochrypłym głosem dyrektor, gdy tymczasem koniec jego rozpuszczonego bata porusza się po piasku złowrogim ruchem, jakim porusza się ogon tygrysa czyhającego z zasadzki.

Orso postępuje kilka kroków, i przez jakiś czas obaj patrzą sobie w oczy. Dyrektor ma zupełnie minę pogromcy, który, wszedłszy do klatki, ma zamiar ćwiczyć niebezpieczne zwierzę, ale zarazem śledzi je.

Wściekłość bierze w nim jednak górę nad ostrożnością. Jego cienkie nogi, ubrane w łosiowe spodnie i wysokie masztalerskie buty, podskakują pod nim z gniewu. Może zresztą nie samo tylko próżnowanie dzieci wzbudza w nim gniew. W górze między ławkami Dżenny patrzy na obydwóch, jakby patrzyła sarna na dwa rysie.

— Hoodlumie! łapaczu psów, psie nieznany — szepcze dyrektor.

Bat z szybkością błyskawicy opisał krąg, zaświtał, zasyczał i uderzył. Orso zaskowyczał z cicha, i rzucił się krok naprzód, ale drugie uderzenie wstrzymało go odrazu, poczem trzecie, czwarte, dziesiąte. Koncert rozpoczął się choć widzów nie było. Wzniesiona ręka wielkiego artysty nie poruszała się prawie wcale, dłoń tylko kręciła się, jakby część jakiej maszyny osadzona na śrubie, a każdy jej skręt odzywał się klaśnięciem na skórze Orsa. Zdawało się, że bat, a raczej jadowity jego koniec, wypełnił całą przestrzeń między atletą a dyrektorem, który, podburzając się sam stopniowo, wpadł w prawdziwe uniesienie artystyczne. Mistrz improwizował poprostu. Trzaskawka migocąc w powietrzu, dwa razy już wypisała krwawe ślady na szyi atlety, które wieczorem miał pokryć puder.

Orso zamilkł w tańcu. Za każdem jednak uderzeniem posuwał się krok naprzód — dyrektor krok w tył. W ten sposób obeszli całą arenę. I znowu dyrektor wycofywał się z areny zupełnie jak pogromca z klatki, a wreszcie znikł u wyjścia do stajen... zupełnie jak pogromca.

Na odchodnem jednak wzrok jego padł na Jenny.

— Na koń! — wykrzyknął. — Rachunek na później.

Głos jeszcze nie przebrzmiał, gdy biała spódniczka mignęła w powietrzu i Jenny w mgnieniu oka skoczyła jak małpka na grzbiet koński. Dyrektor zniknął za zasłoną, koń zaś począł galopować wkoło, dudniąc od czasu do czasu kopytami w parapet.

— „Hep! hep!“ — pokrzykiwała cienkim głosem Jenny: „Hep! hep!“ ale owo „hep! hep!“ było zarazem łkaniem. Koń biegł coraz prędzej i dudnił kopytami pochylając się coraz gwałtowniej. Dziewczynka, stojąc na siodle z nóżkami przyciśniętemi jedna do drugiej, zdawała się go ledwie końcami palców dotykać; różowe nagie jej rączki chwytały nagłemi ruchami równowagę, rzucone w tył pędem powietrza włosy i cyrkowa z gazy spódniczka goniły za jej lekką postacią, podobną do ptaka krążącego w powietrzu.

„Hep! hep!“ pokrzykiwała jeszcze. Tymczasem łzy zalewały jej oczy, tak że musiała głowę zadzierać, żeby coś widzieć; bieg konia odurzył ją: spiętrzone szeregi ławek i ściany i arena poczęły wirować naokół niej. Zachwiała się raz, drugi, i wreszcie spadła w ramiona Orsa.

— O, Orso! biedny Orso! — wołało szlochające dziecko.

— Co ci jest, Dży?! — szeptał chłopiec. — Czego płaczesz? Nie płacz Dży! Mnie nie bardzo boli, wcale nie bardzo.

Jenny rzuciła mu obie ręce na szyję i poczęła całować jego policzki. Całe jej ciało trzęsło się od uniesienia, a płacz przechodził prawie w spazmy.

— Orso! o Orso! — powtarzała, nie mogąc więcej przemówić i ręce jej zaciskały się gwałtownie koło jego szyi. Gdyby sama została wybita, nie mogłaby płakać więcej; jakoż w końcu on zaczął ją utulać i pocieszać. Zapomniawszy o bólu, chwycił ją na ręce i przyciskał z kolei do serca a rozkołysane biciem jego nerwy sprawiły, że pierwszy raz uczuł, iż kocha ją nietylko tak jak Brytan swą panią. Oddychał szybko, a wargi jego poczęły szeptać przerywanem tchnieniem:

— Nic mnie już nie boli. Gdy ty jesteś przy mnie, bardzo mi jest dobrze. Jenny! Jenny!

Tymczasem dyrektor chodził po stajniach i pienił się ze złości. W sercu jego nurtowała zazdrość. Widział on dziewczynę na kolanach przed Orsem, a od pewnego już czasu cudne dziecko poczęło w nim wzbudzać jakby brzask nizkich uczuć, nie dość jeszcze rozwiniętych. Ale posądził już ją i Orsa o romans, więc pragnął się zemścić. Znalazłby dziką rozkosz, gdyby ją wybił, bardzo mocno wybił, i tej chęci nie mógł się oprzeć. Po chwili zawołał na nią.

Wyrwała się natychmiast z rąk atlety i w mgnieniu oka znikła w ciemnem wejściu do stajen. Orso był jakby odurzony, bo zamiast iść za nią, poszedł chwiejnym krokiem do ławki, i siadłszy na niej począł ciężko robić piersiami.

Tymczasem dziewczynka, wbiegłszy do stajni, nie spostrzegła z razu nikogo, albowiem ciemniej tam było jeszcze niż na arenie. Bojąc się jednak, aby nie posądzono jej, iż nie spełniła natychmiast rozkazu, wołała cichym i przestraszonym głosem:

— Już jestem tu, panie! już jestem!

(Dokończenie nastąpi).

Wiadomości miejscowe i potoczne.

Na kościół św. Stanisława na Skałce w Krakowie złożyli pp. Józef M...... z Nowego Orzegowa 50 fen., Paweł M..... z Królewskiej Huty 50 fen.

Razem z poprzednimi 8 m. 10 fen.

Dalsze datki chętnie przyjmujemy.

Królewska Huta. We wtorek przejeżdżał przez nasze miasto wielki kulik, składający się z 98 w różny sposób przystrojonych sań. Osoby na saniach się znajdujące, były w maskach.

Odprawianie kuligów albo raczej bawienie się w kuligi przejęli Niemcy od Polaków, bo to staropolski zwyczaj. Teraz Polakom kuligów się nie chce, bo nie mają na to, więc bawią się inni, aż im się też odechce. —

— W Liście pasterskim, który został w niedzielę ogłoszony ze wszystkich ambon, ubolewa Najprzew. Książę Biskup wrocławski mianowicie nad brakiem księży. Dyecezyanie zanoszą petycye o kapłanów, a tych nie ma zkąd brać; więc napomina ks. Biskup szczególnie rodziców, ażeby dzieci w pobożności wychowywali, ażeby takowe z ochotą poświęcały się stanowi duchownemu.

Listu pasterskiego nie podajemy w całości, bo jest bardzo długi. Czytelnicy zaś nasi zapewne albo sami byli w kościele, albo też ktoś z ich familii, więc nie trudno się dowiedzieć, co w liście było powiedziane.

— Na walnym wiecu poznańskim był także jako reprezentant Kaszubów nadbałtyckich stary wiarus Mieżwicki z Więckow pod Skarszewem, w prostym kaszubskim stroju, z czapką-kapuzą i z zacnem sercem kaszubskiem. Jest to gorliwy włościanin kościerskiego powiatu, biorący żywy udział we wszystkich pracach i zebraniach w Skarszewach, Kościerzynie i Chełmnie, miłośnik literatury polskiej. Mieżwicki pozostał w Poznaniu przez wtorek, środę i czwartek, zwiedził wszystkie pamiątki, zakupił broszur i książek — a w piątek zwiedził Gniezno, pomodlił się przy grobie świętego Wojciecha, męczennika i patrona narodu naszego. W sobotę puścił się z powrotem w domowe strony. Był on także w roku 1885 z pielgrzymką we Welehradzie, a mimo 7 krzyżyka z żywością opowiadał dzieje swej pielgrzymki. Był on też i na pierwszym wiecu poznańskim.

Z ust jego słyszeliśmy, pisze „Kuryer Pozn.," następującą piosnkę kaszubską:

Każdy chwali swoją ziemię,
Swoją chatę, swoje plemię,
Jabym swojej nie miał chwalić
I od wzgardy jej ocalić,
Gdym Kaszubą z woli Boga,
Matką moją: Polska droga.

Choć bogatsze inne kraje,
Choć wszystkiego im dostaje,
To tu u nas jeszcze przecie
Na Kaszubach głód nie gniecie.
Z roli naszej mamy żytko;
Mając żytko — mamy wszytko.

Nie masz prawda dawnych braci,
Lecz nam jeszcze miodu starczy
Do wypitki na wesele,
Wosku na świeczki w kościele,
W lecie jeszcze zwierza zgoni
A Kaszuba świadom broni!

U nas wioski ni zagrody
Nie znajdziesz bez rybnej wody,
Więc o rybę tu nie bieda,
Mnóstwo ich się jeszcze sprzeda,
Niech to wszystkim Gdańsk wyjawi:
Ile on ryb naszych strawi.

Nasza szlachta nieparciana
Pod Wiedniem za króla Jana
Turka dzielnie gdy gromiła,
Szlachectwo swe wysłużyła,
Co kapuzy poświadczają,
Bo początek swój ztąd mają.

Więc wszystkiego jest po trosze,
Jest dostatek, są i grosze,
To też chętnie za te dary
Co rok składa swe ofiary
Do Wejrowa procesyja,
Że Kaszubom Bóg tak sprzyja.

Niech żyją Kaszuby — a na przyszły wiec niech przyjadą gromadniej do Poznania.

Katowice. W poniedziałek został przejechany na tutejszym dworcu robotnik Priesmuth, który ranżerował wagony. Koła ucięły mu obie nogi. Nieszczęśliwego odwieziono do klasztoru braciszków w Bogucicach. —

Wirek. Palaczom (Schürer) tutejszych hut cynkowych podwyższono płacę dzienną o 20 fenygów.

Mikołów. Gdy zeszłej soboty parobek proboszcza Sznapki saniami, napełnionemi śniegiem, do stawu jechał, załamały się konie na lodzie, a sanie wywróciły się tak, że przykryły woźnicę. Wołanie tegoż o pomoc było daremnem; dopiero gdy konie, które wpadły w wodę zaczęły rżeć, spostrzegło kilku przechodniów niebezpieczny ten wypadek i wyratowali z wielkim mozołem parobka i konie. —

Pyskowice. Przed kilku dniami znaleziono niedaleko seminaryum nauczycielskiego w rowie zmarzłego kamieniarza Czempika. Tenże był nałogowym pijakiem i dlatego przypuszczać można, ze w napiłym stanie wpadł w rów z którego już więcej nie powstał. —

Kietrz. Paraliżem rażona padła prz[e]d kilku dniami na ulicę żona pewnego robotnika z Krotfeldu (?), w czasie gdy szła z apteki do domu. Smierć nastąpiła niedługo potem.

Głogów. Na linii kolejowej z Leszna do Hausdorfu bywały w ciągu ostatnich lat w wagonie pocztowym paczki i kufry za pomocą wytrycha otwierane. Wiele przedmiotów wartościowych zaginęło, a wszelkie poszukiwania były daremne. Dopiero teraz złapano pakmistrza Henryka Beckmanna na gorącym uczynku. Przy poszukiwaniach zarządzonych w mieszkaniu złodzieja znaleziono wiele drogocennych przedmiotów, pomiędzy temi kosztowne korale, które żona jednego z tutejszych oficerów w kuferku miała podczas podróży. —

Przytrzymanie takiego właśnie niespodziewanego złodzieja zrobiło tu wielkie wrażenie. —

— W Warszawie w kościele św. Antoniego przy ul. Senatorskiej, nabożeństwo d. 21. z. m. zakłócone zostało niezwykłym wypadkiem: Władysław Rozważewski, robotnik, człowiek lat 30 liczący zażył podczas sumy truciznę i padł bez zmysłów na ziemię. Otaczające samobójcę kobiety z krzykiem rzuciły się na ratunek samobójcy; odwieziono go do szpitala św. Rocha, gdzie zarządzono odpowiednie środki. Życiu R. grozi niebezpieczeństwo.

— W Przeszowie na Węgrzech wkradli się jacyś zbrodniarze do handlu skór niejakiego Klaubau a, który wyjechał był do Wiednia. Zamordowawszy żonę i urznąwszy język uczniowi, którego w okropnym stanie znaleziono na ulicy, zrabowali cały skład.

Kalendarz. Piątek 8-go Marca Jana Bożego, sobota 9-go Marca Franciszk. Wd., niedziela 10-go Marca 40 Męczenników, poniedziałek 11go Marca Pelagii P.

Wschód słońca o godzinie 6 minut 33 zachód o godz. 5 minut 50.

Rozwiązanie zagadki w numerze 15.

(Dalszy ciąg i dokończenie.)

Zamieszczamy jeszcze następujące trafne rozwiązania:

1) od pana D. Szendzielorza z Michałkowic:

Szanowny Panie Autorze zagadki
Któryś nam zadał mozół nie gładki
Abyśmy głowy sobie nałamali
A tę zagadkę dobrze rozwiązali.
Ja gdy ją sobie pilnie przeczytałem
Tak sobie zaraz umedytowałem:
Pierwsze i drugie to parę wskazuje
Z którą war wody w górę ulatuje.
Drugie i trzecie wskazała mi rada,
Że całą trójkę stanowi parada.
Chociaż więc głowy w szkołach nie łamałem
Pewnie zagadkę dobrze rozwiązałem
By nie zazdrościć szczęścia mędrszej głowie
Kreślę to tylko w tak prostej osnowie.
Niechaj się z serca ucieszy całego,
Kto weźmie Dzieje narodu polskiego.

2) od pana Szymona Langera, górnika z Sadzawki:

Oj były to błogie czasy, gdy wielcy i mali
Bogaci, ubodzy parady nie znali.
Lecz gdy teraz wszyscy paradzie hołdują,
To też często zbyt wiele niedoli uczują.
Gdy człowiek dawniej za nic miał paradę
To dał sobie ze wszystkiem jako tako radę.
Tak więc, Bracia, z ochotą ten nasz „Głos" czytajmy
A Boga nadewszystko ze serca kochajmy.
Zagadki rozwiązujmy,
Bliźniego jak siebie miłujmy.

3) od pana Fr. Strzempka z Siemianowic:

Kiedym sobie siedział i czytał gazetkę,
Przypomniałem sobie na ową zagadkę;
Moja żona pilnie obiad mi gotuje
Wtem woda jej z garnka na blachę zlatuje;
Pomyślałem sobie: to będzie ta para,
O którą się także moja głowa stara.
Drugie i trzecie będzie pewnie rada,
Która wśród kłopotów najlepiej się nada.
Rada jest najlepsza, kiedy jest od Boga,
Gdyż Bóg nam pokaże, gdzie prawa jest droga.
Pomnijmy więc na to, gdzie dobra jest rada.
Cała zaś zagadka to znaczy: parada.

4) od pana W. Kamińskiego z Lipin:

Pierwsze z drugiem widzimy, gdy pary gromada
Po nad piecem się zbiera i w wodę osiada.
Lecz też gdy zmokniemy, jak to często bywa
Ulatnia się para, gdy się człek ogrzywa.
Drugie znów z trzeciem jest to dobra rada
Lepsza od pieniędzy, przysłowie powiada.
Wszystkie trzy złączone ludzie odbywają
Kiedy kurkowego króla w miasto wprowadzają.
Nikomu sie zaprzeczyć w tym razie nie nada,
Żeby to nie była w tem wielka parada.

5) od pana Jana P. z Rzeczycy przy Łabętach:

Aby korzystać z czasu wolnego
Po ciężkiej pracy pozostałego,
Biorę za pióro by parę wierszy
Skreślić; a chociaż jednak niebędę pierwszy
Który z numeru to piętnastego,
Pisma „Głos Ludu Górnoszląskiego,"
Wyczytał gdzie jest oddział „Zagadka"
Której treść dzisiaj całkiem nierzadka;
By się wywiązać z tego zadania
Piszę te wiersze dla rozwiązania.
Pierwsze i drugie każdemu znane
Dziś za powszechne bywa trzymane,
Bo czasy one w których żyjemy
Słusznie je parą nazwać możemy.
Dziś w mgnieniu oka świata przestwory,
Przebywa parą żelazne tory,
Machina siłą Herkulesową.
Lecz nie tu koniec moim wymowom;
Bo gdy się w Górny Szląsk ukochany
Spojrzy, to wszędzie dymu bałwany,
Tam w licznych pracach niby sturęcznie
Machiny parą pracują zręcznie,
A ludek dobry nasz ukochany
Nieraz zbyt przytem pracą znękany.
Po falach morskich prują przestrzenie
Statki parowe, to już w zdumienie
Wprawia, ta szybkość w mokrym żywiole,
Lecz prawda jasna jakby na stole,
Że, jak na lądzie tak oceanie
Wszędzie ma para swe panowanie.
Trzeciego także szukać nie trzeba,
Bo dziś doradzców więcej niż chleba,
Lecz przyjaciela trafisz rzadkiego
Coby cię radą serca szczerego,
Wsparł, lub dopomógł w twojej niedoli,
Gdy ucisk gniecie lub cię coś boli.
Lecz teraz muszę całość ułożyć
By Radaktora długo nie nużyć,
Te trzy sylaby pa(-ra) i rada
Stanowią cały wyraz: „Parada."
Niechcę jej szukać w szlacheckich willach,
Aby nie tracić na drogich chwilach,
Bo tam parada jest już wrodzoną,
Lecz idźmy tylko prostaczka stroną!
Oj! ta parada w roboczym stanie:
Już się znać dała, pożal się Panie,
Bo kiedy były te dobre czasy,
To się strojono w jedwab, atłasy,
Gdyż żona chłopka panią się mieni
Piękniej się stroi niż dozorczyni.
I dzisiaj chociaż o pieniądz bieda
Nic to nieszkodzi, przecież do żyda
Niejedni z książką „borgowe" lecą,
Byle na pozór czemsik zaświecą.
Wielebym jeszcze miał do mówienia,
Ile to ludzie dla sparadnienia
Biedy podżyją i w długach wiszą
A wierzyciele jak chcą tak piszą.
Jeżelim komu wszedł do sumienia
Proszę wybaczyć, bo z zapomnienia
Na słabość ludzką to uczyniłem,
A więc rozsądźcie w czem pomyliłem.

Trafne rozwiązanie nadesłali jeszcze pan Ludwig Nowak, górnik z Janowa przy Mysłowicach i pan Józef Biskupek, z Doroty przy Zabrzu, górnik i prezes Towarzystwa św. Barbary w Zaborzu; wreszcie p. Fr. Kott z Michałkowic.

Pan M. Widera, mistrz szewski w Mysłowicach, nadesłał dosyć udatny wierszyk, ale szkoda, że rozwiązanie nie było trafne. —

Wierszyki, które powyżej zamieściliśmy nie są wprawdzie wolne od usterek, lecz zamieściliśmy je bez większych poprawek umyślnie dlatego, aby nasi czytelnicy, mianowicie z dalszych stron (po za granicami Szlązka) mieli sposobność przekonać się, jakie to zdolności nasz ludek w sobie ukrywa i jak bardzo zdrowe zdanie w niejednem słowie umie wypowiedzieć. —

Nową zagadkę zamieścimy w następnym numerze.

Zaproszenie do przedpłaty.

Dnia 1-go Stycznia 1889 roku wyszło naszym nakładem dzieło p. t.

Pierwsze 354 lata Historyi Kościoła św.,

wyjęte z rocznych dziejów kościelnych

X. Piotra Skargi.

Z rycinami. Format wielkiej ćwiartki, stronnic 155 Druk wyraźny. Piękne i bardzo zajmujące dzieło to obejmuje historyą początków Kościoła katolickiego, który w tych pierwszych latach tyle poniósł prześladowań i tylu świętych mężów wydał.

Cena w prenumeracie do 1. Kwietnia 1889 roku wynosi 1 m. 20 fen. = 75 ct. z przesyłką franko, w oprawie w pół płótno 1 m. 70 fen. = 1 fl. 20 ct. już z przesyłką franko.

Cena po 1. Kwietniu znacznie podwyższoną zostanie. — (Dzieło to zaopatrzone jest w aprobatę koscielną).

Należytość uprasza się przesyłać naprzód do

Księgarni Katolickiej w Poznaniu, ul. Wodna 25.

Za ogłoszenia nie jest Redakcya odpowiedzialną.

Drukiem Fr. Plocha w Królewskiej Hucie.